TYDZIEŃ

polityczny, naukowy, literacki i artystyczny.

Wychodzi co Niedziela numer arkuszowy. — **Rękopisma**, oprócz wyjątkowych razów, nie zwracają się. — **Ogłoszenia** wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą 1 sgr. od wiersza petitowego trzy-szpaltowego. — **Redakcja** w Dreznie.

REDAKTOR

JÓZ. JGN. KRASZEWSKI.

Prenumerata trwa do końca pierwszego kwartału; przyjmuje się u Wydawcy w Dreznie, we wszystkich znaczniejszych księgarniach polskich w kraju i za granicą i w Urzędach Pocztowych. — W Niemczech północnych z przesyłką (oprócz stępla) wynosi ćwierćrocznie **1 talar.**

№ 19. Drezno, dnia 7. Maja 1871. Rok II.

Kronika tygodniowa.

W przeszłym tygodniu dotknęliśmy już obrazu smutnego położenia naszego i klęsk, jakie z ostatnich wypadków na nasze także spłynęły losy. Odbiły się w nich najdziwniej i klęski a zawichrzenia Francji i niepomyślny obrót sprawy rzymsko-włoskiej i słabość Austrji i buta a siła zwycięzkich Niemiec i zwycięztwo Rosji w polityce Wschodu. — Z upadkiem potęgi Francji straciliśmy schronienie i moralne poparcie; sprawie rzymskiej winniśmy wewnętrzny rozbrat między duchowieństwem a narodem; słabość Austrji trzyma nas pod grozą moskiewskiego najazdu i hegemonji Rusinów w Galicji; cesarstwo niemieckie kupione krwią Poznańczyków, obficie wylaną, wita nas mową Bismarcka i burmistrzowstwem p. Kolheisa; a porozumieniu Rosji z Portą zawdzięczamy wygnanie naszej braci z posad przez nich zajmowanych. — Można by sądzić, że jest istotnie w przeznaczeniu naszém cierpieć nawet za tych i za to, co jak najdalszém się od nas być zdaje.

Jeźli więc kiedy, to dziś zostawieni jesteśmy sami sobie, siłom własnym i ostatecznemu — *Help your self*. — Nie można przeczyć też, iż w mierze sił i w granicach jakie nam pozostawiono, w niektórych przynajmniej częściach Polski, czyni się na co siły starczą, aby się przy bycie utrzymać i byt ten zapewnić. Prace te narodowe w porównaniu z przedkilkudziesięcioletniemi, nie wahamy się przyznać — są lepiej, zdrowiej a cale inaczej pojęte.

Gdy programmem od 1825 roku niemal był nieustanny ów spisek, który pan Szujski nazwał nieprzerwalnością powstania — dziś zyskała na têm sprawa narodowa, że wyszła na jaw, ograniczyła się têm, co jawnie i legalnie przedsiębrać może; że ani uczuć swych, ani zasad, ani planu czynności taić nie chce i nie ma powodu; — zyskała na têm, iż się wytrzeźwiła z dyplomatycznych knowań, rachub fałszywych i dworowania różnym siłom, zamiast wytwarzania siły własnej.

Przynagleni już, przywarci do ściany, w obronie ostatecznej bytu, zrozumieliśmy, iż polityką dla nas najlepszą jest trwać, wyrobić w sobie potęgę oporu — i czekać. — Nie zaparliśmy się dla tego praw naszych, których jawne głoszenie odzywa się zarówno w parlamencie cesarstwa i nieraz w radzie państwa austrijackiej. Prace nasze, które nazwano organicznémi, na oko są niepozorne, ale jako podstawy bytu, o nim stanowią. — Możeśmy w chwili zapału (słusznego zresztą) ku nim, jako ku rzeczy nowej pozornie, przez skłonność w charakterze naszym utkwioną, posuwania się zawsze i we wszystkiem do krańców, i w pojęciu tych prac zaszli za daleko, wykluczając inne, życiu narodowemu niezbędne warunki, lecz doświadczenie samo zwróci nas do właściwej miary. — „Nie samym chlebem żyje człowiek,“ chociaż bez chleba żyć nie może. — Na dziś jednak — zadaniem jest chleb i siła. —

SEDAN.

Pod tym prostym tytułem wydał p. Kamill Lemonnier w Brukselli, żywy obraz okolic i miasta Sedanu w chwili okropnej katastrofy, która gruzami i trupami pokryła spustoszony ten kąt nieszczęśliwej Francji. Opis ten wierny aż do zbytku, skreślony jest z plastycznym talentem, z kolorytem i uczuciem wielkiem. Będąc w niemożności dać całą tę książkę w odcinku naszym, chcemy przynajmniej kilka z niej ustępów umieścić.

„— Bazeilles, o tej dnia godzinie — straszny przedstawiało widok. — Wielka ulica, która jest drogą prowadzącą do Sedanu, przerzyna wioskę i rozcina ją na dwoje, aż do innego rozdzielonego gościńca w lewo; ciągnie się jakiś czas wśród dwóch rzędów domostw i dalej przez pola. Gdyśmy doszli do Bazeilles, wielka ulica wzdłuż cała była przed nami, a że ostatnie domy wiejskie niższe są od pierwszych, z powodu szybkiej spadzistości wzgórza, z punktu tego mieliśmy całe Bazeilles przed sobą.

Dwa szeregi facijat czarnych i niejednakowo ogniem zniszczonych, zębiły się na szarém niebie, a w środku, gdzieniegdzie zawalona gruzem, świeciła droga szosowa od deszczu spłukana.

Dachy, jak żebra skieletów, malowały się czarno na tle nieba z potrzaskanémi krokwiami i oknami poddaszów świecącémi na wylot, bez pokrycia, kawały murów, pooklejane papierami kwiecistémi, powalane sadzą oznaczającą miejsca gdzie były kominy, stérczały w niełądzie, po nad chaosem gruzów bez imienia, w których dostrzedz było można drzwi, okna, połamane sufity i zdruzgotane wschody. — Ściany opasujące wschody obalone, ponachylane, wisiały nad próżnią ze drzwiami napół z zawias powyrywanémi, którémi wiatr rzucał. . . . Ogromne belki zwęglałe spadłszy na murów gruzy, niewiedzieć jak wisiały na nich, trzymając się w powietrzu. — Wysoki mur, wyszczerbiony w środku, pomalowany na rodzaj marmuru, przez wyłom ten, jak przez otwór ramy, pokazywał nam wzdłuż cały rząd ruin w dali. . . . Jeźli na drodze wzrok się na jakim murze zatrzymał, znalazła się w nim szczelina, dziura, okno, które dozwalały sięgnąć w głąb. . . . Wioska podobną była do skieletu, na którym gdzieniegdzie resztka ciała się trzyma; kamienie przylgłe jeszcze do siebie, wyglądały na szczątki ciała. Przypominało to spalone papieryi w ogniu, podziurawione i pocięte płomieniem węgli, i rozsypujące się w garść popiołów. Bazeilles miało rzeczywiście

Zaprzątnienie tém wyłącznie i zniżenie postulatów narodowych już bardzo widoczne w całej literaturze, zrodzonej z owych organistów; nie trwoży ale nie pociesza — chyba tém, że z niego wyjdziemy.

Kierunek ów pracy w Poznańsskiem, w Prusach, w Królestwie kongresowém najwidoczniejszy jest. Galicja mniej mogła uczynić dotąd, bo więcej miała do uczynienia. — Na posiadłości pruskie, grzech by było jawnej prawdzie zaprzeczać, — wpływały korzystnie pruskie prawodawstwo, przykład rządności, przymus do pracy, groźby współzawodnictwa, gotowe ramy niemieckie, w które polską sprawę łatwo włożyć przyszło. . . . Galicja przeciwnie zarazić się tylko mogła anarchiją i bezrządem austrijackim, a potargane instytucje i tradycje polskie na obronę i wytworzenie siły starczyć nie mogły. — Tu wreszcie nawet przybywająca swoboda przyszła w takiej formie, z takiemi dodatkami i nieszczęśliwym inwentarzem, że nadużyć jej było można, ale używać nie podobna. Nie jest więc poniekąd winą Galicji, iż dla niej nie wybiła godzina pójścia do winnicy. Opóźniona dogonić jeszcze może.

Takie jest położenie nasze, wzięte jak najogólniej, — lecz wejrzawszy w głąb' — mamy zaprawdę nad czém zaboleć. — Nigdy, nigdy może od tych stu lat niewoli i niedoli, które dobiegają wkrótce, Polska nie była tak na duchu rozbitą, rozdartą, nieprzejednanie poszarpaną własnémi rękami jak dzisiaj. — Mamy już nie stronnictwa, jak w dawnej emigracji, ale obozy, co sobie jawną na polu czynu wojnę wypowiedziały i sprawę narodową gotowe są poświęcić swym tak zwanym zasadom i planom. — Dotąd nie możemy nigdy pokazać u nas przykładu tak niegodziwej walki, jak wyborowa poznańska między zszeregowaném i na żołdactwo zmienioném duchowieństwem a krajem. — Idąc do głębi, znajdziemy takich rozdarć i nienawiści nieprzejednanych więcej a więcej, o których lepiej nie mówić. — Były one zawsze u nas, — ale granicą dla nich był interes kraju — dziś ten już dla wielu, jak dla partji klerykalnej nie znaczy nic.

Z pociechą więc zapisać należy w rachunku naszym, iż mimo klęsk, jakich doznaliśmy, jakie spadają na nas — krzepim się, pracujemy, aniśmy zrozpaczyli o sobie.

Uwagi te nastręczył nam szczególniej fakt jeden, który może mieć doniosłość wielką, jeźli szczęśliwie poczęty, rozwijać się będzie w cichej a wytrwałej pracy dalszej około niego. — Faktem tym jest związek spółek pożyczkowych i zarobkowych na sejmiku w Poznaniu uchwalony i do skutku już doprowadzony. — Łączy on w jedno i zespala kilkanaście ognisk z sobą, obejmując Poznańskie, Prusy Zachodnie i Szlązk Górny. — D. 30. Kwietnia pamiętnym będzie tym zjazdem, — w którym przemówienie od Kaszubów i Szlązaków, i podanie im bratniej ręki nowe pojęcie zadania narodowego znamionuje. — Są to, dobrowolnie garnące się ku nam, zdobycze nasze moralne, owoce rodzącego się ładu, porządku a organizacji pracy. — Godzi się więc zjazdu tego uchwały i wielkie dla przyszłości obietnice zapisać na pierwszém miejscu w kronice, jako pociechę po tylu doznanych klęskach. — Ludziom, którzy osnuli i rozpoczęli zaprawdę pełne zasługi dzieło, wskazywać nie potrzebujemy, jak ono w skromnym swym na oko programmie, wiele uczynić może. Pomysł pierwszy tego związku, pochwycony gorąco i tak żywo uskuteczniony, należy Dr. Zielewiczowi.

W polityce rosyjskiej najbardziej uderzającém jest coraz bliższe porozumienie się z Portą, która chce wyzyskać przyrzeczoną jej opiekę i upadek Francji, dopominając się zachwianych swych praw do Egyptu. — Polityka Rosji, jak skoro raz weszła na tę drogę sojuszu i protekcji dla Turcji, ma już wytknięte dalsze ścieszki, postępowaniem z Polską od wstąpienia na tron Poniatowskiego. — Protegując, najłatwiej owładnąć.

Dzienniki rosyjskie, między innémi „Głos,“ z powodu zakończenia czynności komitetu urządzającego w Królestwie, odzywają się z ubolewaniem, że rusyfikacja tu nie jest dostateczną, domagając się zupełnego wyniszczenia polskiego żywiołu, głodem bodaj i morem! W Radzie państwa miano rozbierać projekt zaprowadzenia sądów pokoju w gubernijach litewskich i południowych. — O blizkich reformach w sądownictwie jużeśmy wspominali. — W Warszawie oprócz ustania odczytów w zakładzie pani Wandy Schmidt „z przyczyn niezależnych od zakładu i prelegentów“ (wiadomo co to oznacza) — nic nowego. Stowarzyszenie wzajemnej pomocy literatów, naradza się nad statutami swémi. Podziwienie jest powszechne, jak słyszemy, w Warszawie nad tém, iż ani Lwów, ani Kraków, ani Poznań stuletniej rocznicy urodzin S. B. Lindego nie obchodziły.

— **Tygodnik illustrowany** dał piękny drzeworyt sceny z prologu Wandy, i statuetkę Syrewicza, ofiarowaną Deotymie. „Kłosy“ zapowiadają wszystkie obrazy z Wandy.

W „Dzienniku rządowym Warszawskim“ podane są cyfry następujące. Cała ilość szkół elementarnych w Królestwie 2,800. Z tych w gminach wiejskich 1,337, jest ich 1,412. Uczących się dzieci 121,633. Stosunkowo do ogółu ludności, 5,789,369, wypada na 17,850 mieszkańców jedna szkółka!!! a jeden uczeń na 41 ludności. Parafij katolickich, 1638, unickich 262. Kas oszczędności i pożyczkowych w gminach 170, z kapitałem zakładowym, 103,930 rub. Średnio na jedną kassę przypada 611 rub. 35 kop. Pożyczki udzielają się na zastaw, gruntu oszacowanego wedle osobnej taksy. Średni szacunek morga 24 rub. 24 kop. Średnia wysokość pożyczki 6 rub. 19 kop. Najwyższy szacunek morga (w Kutnie) 45 rub. maximum pożyczki 11 rub. 25 kop. Najniższa cena gruntu (Biłgoraj) 11 rub. 25 kop. minimum pożyczki 2 rub. 75 kop.

Nowy minister p. Grocholski i nowy gabinet austrijacki żywo zajmuje prassę niemiecką i polską. — Dla okazania zaufania kraju dla pana ministra, Polacy przebywający w Wiedniu, chodzili go powitać uroczyście, a z Galicji przesłano mu

---

barwę tego papieru spalonego, zrudziałą i czarną. — Z facijat co pozostało, ogryzionego długiemi języki płomieni, wyrastających z gruzu, przerzynały czarne smugi, dymiące jako włos na bydlęciu. . . . Widać było wszędzie massę drobnych brunatnych dymów, które świdrem kręciły się w powietrzu, a gdy wiatr powiał zbijały się w kłęby. — Drzewo leżało na ziemi stosy wielkiemi i formowało kupy czarne, z pod których słychać było warczenie, jakby wrzenie ogni wewnątrz uśpionych. Deszcz lejący ciągle, powygładzał belki wystawione na dym i nadał im lakier ciemny, świecący jakby hebanem. Belki, deski, przęsła, łaty sufitów, kawały drewnianych obić jeżyły się jak kupy krzaków płonących po nad gruzem i kamieniem. Weszliśmy do Bazeilles. — Nigdy w życiu nie widziałem nic bardziej przejmującego nad ruinę tych wszystkich domów, wczora jeszcze szczęśliwych, dziś nagle śmiercią dotkniętych, z powodu heroicznego buntu kilku ludzi. — Groza tej klęski pożaru niczem była obok rozczulającej myśli o tylu istotach rozproszonych, zabitych — tu, gdzie jeszcze tak świeże ślady życia, przeżyły je. W bardzo wytwornym domu, którego facijata nieco naprzód była wysunięta, widać było na parterze trzy pokoje jeden za drugim bez mebli, z dziurami w sufitach i podłogami połamanémi. W końcu był gabinet nakształt oranżerji, z którego tylko kopułka żelazna ocalała. Ramy złocone, oczerniałe od dymu, wisiały na murze, a w nich rozeznać było można portret młodej i pięknej kobiety. Cały ten światek drobnych rzeczy, który otacza kobiety, poszedł z dymem i popiołem, jej słodki, tryumfujący wizerunek pozostał jak wspomnienie na grobowcu. — Przed domkiem chłopskim stoczył się stołeczek zamykany dziecięcia, a tuż na kawałku muru chwiała się klatka ptaka . . . w której on leżał zdechły. Noga co chwila o szczątki sprzętów potrącała; jak przyjaciele jeszcze żywi, przypominały one to, do czego umarłym przysługiwały. Szmaty ubrania także walały się po ziemi a wiatr po szosie unosił kłęby popiołów i dymu. Nieustannie słychać było coś walącego się do koła . . . ledwie jeden trzask ustał, drugi się już poczynał. . . . Tam facjata domu waliła się na gościniec, ówdzie reszta ściany zsiadała się i rozsypywała. Za każdym razem podnosił się dym wielki, pełen drobnych gwiazdek iskier, które sycząc z płonącego drzewa leciały. — Naówczas w powietrzu czuć było co raz bardziej spaleniznę, a niekiedy i swąd przypalonego ciała. . . . W oberżach zachowały się jeszcze szyldy, ogień nawet na murach nie zatarł wszędzie nazwisk dawnych mieszkańców. Wozy naładowane, jedne beczkami, drugie drzewem, czekały przed wrotami, żeby do nich założono konie. Ładny domek z zielonémi okiennicami, miał przed sobą ogródek, widać upodobany właścicielowi, bo kwiatki w nim stały w ślicznych koszach pozbierane. . . . Pożar je oszczędził, ale dom spłonął i wnętrze

parę adresów. Ministerium, po długiem oczekiwaniu, wniosło projekt do prawa, rozszerzyć mającego władzę — wnioskodawczą sejmów. Jest on przedmiotem krytyki i rozbioru dzienników, z których znaczna większość, widząc w nim pojednawcze dobre chęci gabinetu, znajdują go połowicznym, niezręcznym i nikogo niezadowolniającym. — Projekt w istocie daje sejmom raczej zadowolnienie miłości własnej, niż jakąkolwiek rzeczywistą siłę. Wnioski bowiem sejmów idą przez Radę państwa do sankcji cesarskiej; a Rada może je odrzucić lub przyjąć, niemogąc ich zmieniać. — Nie zdaje się też bardzo szczęśliwym pomysł, przypisywany gabinetowi połączenia w jednej osobie namiestnictwa i marszałkowstwa sejmu. — Wyzyskanym by on być mógł łatwo raczej przeciwko autonomji kraju, nie na korzyść jej. — Galicja zawsze jeszcze jest w błogiem oczekiwaniu naznaczenia namiestnika, którego co dzień się inaczej domyślają. Do brukowych lwowskich nowin należy zmowa czeladzi krawieckiej, dla podwyższenia płacy, która się zapewne zgodą ukończy, i zmiana imienia smutnego ulicy świętego Łazarza na — Kopernika. Myśl bardzo szczęśliwa.

Coś którego numer trzeci wyszedł w Krakowie, mieści nekrolog „Mrówki“ „W tych dniach złożono na cmentarzu dziennikarskim, zwłoki ś. p. „Mrówki“, wdowy po dwóch małżonkach, ś. p. „Towarzyszu i Dzienniku literackim.“ Nieboszczka była jedna z ostatnich pra-pra-prawnuczek, pra-pra-prasy literackiej galicyjskiej, której nader liczne potomstwo oddawna już powymierało na suchoty, a mała liczba pozostałej przy życiu dziatwy, okazuje nadzwyczajne usposobienie do tej choroby. Wyprowadzenie zwłok odbyło się bardzo cicho. Na pogrzebie był tylko „Dziennik poznański“, który do audytorjum, złożonego z samego mówcy, powiedział mowę dziwnie lakoniczną, zamkniętą w trzech wyrazach: Mrówka przestała wychodzić i t. d.“

„Dziennik polski“ podaje w odcinku nie drukowany list J. Słowackiego z r. 1835 i wiersz jego z 1841. Ostatni nosi tytuł: Do E.

Napiszę prosto, ponieważ słów chciałaś,
Że kto na walkę samotną, rozpaczną
Patrzy tak zimno — jako ty patrzałaś —
I nieraz rękę podnosi niebaczną
Zbroi, mieczami pobitej na ćwierci,
Gdy śmierć wyniknie? będzie winien śmierci.

Gdyć powiedziano, że mię morskie fale
Porwały zimnych ramieniem obręczy,
Ty urągałaś się samotnej chwale,
Co w morzu gasła nakształt młodej tęczy,
Aniś myślała, że pieśni pogrzebne
Będą mi śpiewać amfitryty srebrne.

Więc Nimfo! — żadném niewzruszona echem
Nawet tém, które śmierć o ludziach gwarzy,
Dziś pozdrowiona bądź bladym uśmiechem,
Uśmiechem nigdy niewidzianej twarzy —
Weź to za uśmiech spokojny człowieka,
Co w nim jest smutku — nie dojrzysz zdaleka.

Paryż, 11. Lutego 1841.

Oprócz szczęśliwego związku spółek, który przyszedł do skutku w Poznaniu, same ztąd smutne wiadomości odbieramy. Hr. Stefan Kwilecki, którego wyborowi pierwszemu stronnictwo ultramontanów przeszkodziło, przy drugim upadł a kandydat niemiecki się utrzymał. Spodziewać się tego było można — a wiemy komu gorliwe staranie o przeprowadzenie „lepiej Niemca“ zawdzięczamy. — W Poznaniu samym przy wprowadzeniu nowego burmistrza, niejakiego p. Kolheis, gdy jeden ze trzech radnych naszych miał przemówić w interesie polskich mieszkańców miasta Poznania, ani go słuchać chciano nawet. — Polscy członkowie protestując przeciwko temu nadużyciu, wystąpili z Rady miejskiej. — Postępek ten burmistrza i rady godzi się doskonale z wybijaniem szyb, rabunkiem sklepów i innémi wybrykami tryumfatorów, które ich cywilizacię wysoką i szlachetność charakteru doskonale cechują. Nad słabémi się znęcać, sile się kłaniać — czy to znamię tych, którzy mają dać kierunek przyszłości Europy i świata?? czy to ma być zadaniem przyszłości?? Grecy pokazywali pijanych Helotów dla zohydzenia pijaństwa . . . my byśmy też to upojenie wskazać mogli, aby szał zwycięzki, pogańską prawdziwie pychę tę podać w pogardę.

— Jakie jest przekonanie większej części niemieckich — uczonych (?) o Polsce, żywiole, narodowości, kulturze i przyszłości Polski, zawsze przeznaczonej na ostateczną zagładę — czytać życzemy nader ciekawy artykuł w drugim kwietniowym zeszycie: *Ergänzungsblätter zur Kenntniss der Gegenwart* (1871 — 465 s.), pod tytułem: *Die Polen in Preussen.* Autorem jego jest *Hans Prutz.* Jedno z pism wychodzących w Poznańskiem lub Prusach, winnoby umieścić ścisły rozbiór i odpowiedź na tę elukubrację znaczącą pod tym względem, że jest wyrazem opinji wielkiej liczby kulturtregerów niemieckich. Kończy się to zaręczeniem „der Adel wird seinen Einfluss verlieren, und die Landbevölkerung sich ruhig in deutsche Sitte und deutsches Staatsleben fügen.“

Najzabawniejsza w tém, że autor nieświadomy miejscowych dziejów dzisiejszych, według starej formuły sądzi duchowieństwo i szlachtę — i zarzuca duchownym, że oni Polskę przez nienawiść do reformy, nie przez miłość ojczyzny, agitacjami podtrzymują! („Nicht weil sie Polen sind, tritt die katolische Kirche entschieden (?!!!) für sie ein, sondern weil sie Katholiken sind“). Według pana Prutza, Bismarck'a . . . i pewnego u nas stronnictwa . . . niestety! nie mamy już nic do czynienia, tylko prosić o ostatnie pomazanie. Ale nas i nieproszonych mażą — zamiast oleju — niestety — błotem!!

Orędownik zbyt drażliwy, na słowo nasze w życzliwym duchu powiedziane, odpisał szeroko się rozwodząc nad niebezpieczeństwami marzeń, mrzonek i czczych słów o patriotyzmie. Możemy go odesłać do naszych własnych w tym przedmiocie wielu artykułów, zupełnie podobnej treści. Niezawodnie marzyć nam się nie godzi, ale zbyt znowu z rzeczywistością ścisłym się węzłem zbratać, i cały interes narodowy widzieć w kieszeni tylko, nie jest bezpiecznie. Nadewszystko *Ne quid nimis* — w miarę trzeba każdej rzeczy — tak samo „Gazeta toruńska“ naucza nas znowu, że pyramidy nie można postawić do góry podstawą — co równie pewne jak nie nowe. Stawcie panowie, stawcie. a byle gruntownie, poczciwie, trwale — na wszystko zresztą zgoda, Nie odmawiajcie nam wszakże prawa sądzenia waszych czynności, ich charakteru i kierunku, — *hanc veniam damus, petimusque vicissim.*

Wszystkich nas społem, przyszłość osądzi, nie ze słów ale z czynów.

---

całe runęło. . . . Stary poczciwiec, który co rana w szlafroku chodził swe kwiatki podlewać, już po spopielałych nie zejdzie tu wschodach.

Wśród mroku — wysokie kominów trąby powykręcane, połamane, ponachylane, porozbijane, drapały się w górę po nad dachy na pół zwalone lub ściany murów porwane we środku. Całość tych ruin fantastycznie, dziwnie, jeżyła się i strzępiła na płowém niebie wieczora. — Mosiężne szyldziki, pordzewione od ognia, wisiały na jednym ćwieku, a żelazne pręty pogięte, drgały, gdy wiatr rzucał niemi. — Resztki murów po nad ulicą okrywały smugi jednostajne, brunatne. . . . W cieniach wydawały się one czarno i plamiły gruzy, w których białe i czarne naprzemian kawały, jak na szachownicy się mieniły. . . .

Co chwila spotykaliśmy kości, drżąc ze strachu, by w nich ludzkich nie poznać. — Lecz pókiśmy szli środkiem drogi, same tylko psów, kóz, świń, baranów, wołów, koni leżały. . . . Gdyśmy nogą stąpili w gruzy — przejęła nas groza. . . . Nieprawda, żeby wszyscy mieszkańcy ze wsi uciekli, starzy nie lecą tak prędko jak pożar, zawsze zostaje ktoś w pogorzałej wiosce, dzieci, chorzy, kalecy, kobiety, starcy . . . a tych kości deptaliśmy w Bazeilles. — Około szopy wywróconej spotkaliśmy chudego psa, który się włóczył . . . i uderzył nas ów swąd szczególny, właściwy spalonemu mięsu. To podnosząc, to spuszczając uszy, z ogonem wtulonym, pies wąchał i grzebał wśród zwalisk. . . . Myśleliśmy zrazu, że tam leżało bydle jakie, którego szukał, lecz zobaczywszy, że zębami wyciągał kawał odzieży — domyśliliśmy się innego i odpędziliśmy psa. — Ten tylko, kto sto razy coś podobnego widział w życiu, nie cofnął by się na widok tego, cośmy znaleźli pod gruzami. Nogami i rękami poodsuwawszy szczątki sprzętów, zwalone na kupę i palące się jeszcze, postrzegliśmy dobywający się z pod spodu słup śmierdzącego dymu, który nas omało nie udusił. Coś czarnego, mającego jeszcze kształt ludzki, z czego wiatr uniosł obłok popiołu — ukazało się oczom naszym. W tej czarnej kupie płasko leżącej, poznaliśmy ciało mężczyzny czy kobiety, — rozpoznać było niepodobna . . . bo ogień wypalił odzieże . . . któryś z nas dotknąwszy głowy, chcąc ją podnieść, poczuł w ręku jakby popiół ciepły, i głowa odpadła nagle, rozsypując się w proch. — Dotknięcie mojej nogi wystarczającém było na rozbicie środka, który się rozsypał także, jak kupa liści pod miotłą. Iskierki czerwone pryskały ztąd podobne do tych, które się z popiołów dobywają, gdy chleb z pieca wyjmują. — Widać było, że spodem ogień dojadał tę spaleniznę ludzką. Przyjrzałem się szmacie, którą pies wywlókł, był to kawał jakiejś tkaniny brunatnej, poplamionej krwią, z której nic się nie dowiedziałem. — Kolba od strzelby, leżąca w miejscu gdzie była ręka

W **Tygodniku wielkopolskim** znajdujemy wiadomość o śmierci utalentowanego młodego poety, którego znaliśmy przed laty, jeszcze rozkwitującym dopiero. Imie jego na Rusi nie było tak obcém może, jak po za granicami jej; chociaż Tadeusz Komar Rusinem nie był. Urodzony w Płockiem w r. 1836, po ukończeniu szkół tamże, udał się na uniwersytet do Kijowa, gdzie do r. 1862 pozostał. Poezje jego patrjotyczne (Do siostr Polek) krążyły już wówczas po rękach. Komar zaciągnął się w r. 1863 do powstania i walczył aż do jego upadku w 1864. Tułał się długo, naostatek osiadł we Lwowie. Tu pracując a niemając co jeść, wywlókł się do Turcji, i w drodze gdzieś na Bukowinie biednego życia dokończył. Zbiorek jego poezji wyszedł w r. 1865 w Bendlikonie.

We Lwowie zmarł d. 1. Maja kanonik, infułat kapituły rzymsko-łacińskiej ksiądz Ostrawski („Dziennik polski").

Tamże, d. 27. Kwietnia, Feliks Piegłowski, właściciel dóbr, b. wojskowy polski z r. 1831.

W Luboni, w Poznańskiem, d. 27. Kwietnia, w 73 roku życia, Antonia z hr. Michałowskich, hr. Ostrowska wojewodzina, wdowa po hr. Antonim Ostrowskim.

W Woli pod Gnieznem d. 27. Kwietnia Józef Mroziński, były długoletni sekretarz centralnego towarzystwa rolniczego poznańskiego, zasłużony na polu prac publicznych.

W Warszawie zmarł Zenon Majewski b. prezes sądu powiatowego nowo-aleksandrowskiego w Kowieńskiem, mając wieku lat 51.

W Warszawie d. 20. Kwietnia zmarł mając lat 62 pisarz hebrajski Fajwel Szyfer rodem z Zamościa; wychowany w Brodach i Lwowie. Około 1850 r. przeniósł się do Warszawy. Wydał zbiór poezji hebrajskich, Życie Napoleona, Kniggego (Der Umgang mit Menschen) i t. d.

W Brukselli d. 1. Marca 1871 r. zmarł Józef Jarocki, z Wołynia, niegdy uczeń Uniwersytetu kijowskiego, wydziału prawa. Przybył chory dla poratowania zdrowia i tu z suchot życie skończył. Z rodziny tej, pięciu braci, dwóch zginęło w powstaniu 1863 r., dwóch jest na Syberji, ostatnim był Józef. Lat miał 28.

W Louvain, d. 11. Kwietnia zmarł Mieczysław de Moërs Rulikowski, mając wieku lat 23. Urodzony na Ukrainie w Paszkówce, z ojca Wacława, matki Marji z Charlęckich, obecnie mieszkających we wsi Horodnicy na Wołyniu. Mieczysław skończył nauki w uniwerstytecie w Lowanjum na wydziale nauk politycznych. W skutek pracy zbytniej nad egzaminami, dostał suchot, których rozwinięcie sam wiek młodociany przyśpieszył. Nietrafne leczenie i wysłanie go do kąpieli morskich w Ostendzie przyczyniło się też do zgonu. Miał tę pociechę przynajmniej, że przez dwa ostatnie miesiące widział matkę u swego łoża. Pogrzebiony tymczasowo na cmentarzu miejscowym, zkąd ciało przewiezionem być ma do grobów rodziny. Miłość na jaką u towarzyszów zasłużył, którzy mimo egzaminu, w pięciu ciągle się przy chorym mieniali (hr. Platerowie, Nowosielski, Soldennhof i Barcz holender), najlepszą jest zmarłego pochwałą.

Instytucije polskie w Paryżu.

W obec wypadków, które na długo zachwiać muszą bytem Francji i wszystkiem co z nim jest związaném, w obec roli nieszczęśliwej, jaką niebacznie odgrywają ziomkowie nasi w tej smutnej tragedji — rodzi się mimowolnie dojmująca troska o przyszłość instytucij, które dotąd zostawały pod opieką Francji i z jej tylko pomocą rosnąć mogły. — Nie ulega wątpliwości, że w każdym razie Francji zabraknie i możności i woli wspierania szkół i zakładów naukowych naszych, że garnąc się o pomoc a szukając przymierza z Rosją, poświęci mu tak Polaków, jak Włochy szkołę w Cuneo, jak świeżo Turcja urzędników naszych, których, dając pierwszą rękojmię przyjaźni, odprawiła.

Czas więc jest już dziś myśleć o tém w co się obrócą, co się stanie z instytucjami naszémi, gdy je Francja zamknie lub im gościnności odmówi. Mamy tam szkołę Batignollską, szkołę Montparnasse i Bibliotekę a Towarzystwo historyczno-literackie nasze.

Myślmy co z niemi poczniemy, ażeby nie upadły, aby się uchowały, aby choć pamięć po nich pozostać mogła.

Najpierwszą jest szkoła w Batignolles, która, co do utrzymania, wspierana była przez Francję, ale stanęła głównie składkami i funduszami narodowémi, pracą i poświęceniem prywatnych osób. Szkoła Batignolska ma piękną dosyć bibliotekę, zbiory i ma własność w Paryżu, szacowaną na miljon przeszło franków. Ma ona i dług na tém wynoszący do 200 tysięcy franków, zatém po zrealizowaniu i sprzedaży, zawsze grosza narodowego w najgorszym razie, gdyby w Paryżu ceny gruntów i budowli spadły — ocalić może do 500—600,000 franków. Czyby nie należało myśleć już o przeniesieniu jej albo do zamku w Rapperswyl, albo do Lwowa, oddając Wydziałowi krajowemu i fundusz i opiekę nad nim?? Jeżli Galicija nie wydaje się nam dosyć od Rusinów-Moskali zabezpieczoną — czyby właśnie Rapperswyl nie był miejscem odpowiedniem dla jej pomieszczenia??

Tubyśmy też chcieli widzieć pomieszczonémi i zbiory Towarzystwa historyczno-literackiego, które po sprzedaży domu miałoby także fundusz żelazny na utrzymanie biblioteki, konkursa, druk pamiętnika i t. p.

Szkoła Montparnaska, jakkolwiek ważna dla nas, prędzejby zastąpioną być mogła, i z tej, jako nie mającej innych

---

trupa, coś więcej mi powiedziała; była długa i płaska, jakby od owych fuzij, które wiszą zwykle po wsiach nad kominem wiejskiej chaty. — Jak ludzie, co idąc lasem, znajdą w gąszczy trupa, i sądzą z tego co go otacza o rodzaju śmierci, któremu uległ, domyślaliśmy się, że ten mężczyzna czy kobieta, heroicznie walczył w obronie wsi . . . a potém ranny, tu się zawlókł i z płomieni uciec nie mógł. Dwóch ludzi w bluzach przechadzających się z rękami w kieszeniach, stanęli, popatrzyli i starszy rzekł: — A! panowie — to był tęgi człowiek. Umarł ze strzelbą w ręku. Wszyscy go znali i kochali dla jego poczciwości. Zwał się Jan Paweł, robił drewniane trzewiki w Balan. Gdy przychodził do Bazeilles, zawsze bywało wstępował do krewnego, którego dom oto właśnie tu padł. . . . Biedny Jan Paweł — ostatni raz przyszedłszy, dał ognia do tych . . . . . i zabili go. — No — a kto by to powiedział, że miesiąc temu Bazeilles było piękną wioseczką, dokąd z Sedan wszyscy chodzili na spacer w niedzielę. My Sedańczycy znaliśmy dobrze Jana Pawła, aż miło było patrzeć jak grywał w kręgle w ogródku u mamy Papinsol. — A oto — tam na placu chłopcy okoliczni po myszy w gry się bawili, a kiedy wiatr był po temu, pacholęta z Bazeilles zbierały się przed kościołkiem i orła puszczali. . . . Wszyscy tu się mieli dobrze i żyli wesoło, ubogich w Bazeilles nie było. — Gdy komu czego brakło, znalazł się zawsze sąsiad, co się ozwał do ludzi — A no! trzeba będzie tej zimy się ścisnąć trochę, sąsiadowi wieprze wyzdychały, musi drugie kupić! — Wszyscy się tak ratowali wzajem, bo wszyscy byli poczciwi! — Ta buda, z której tylko muru coś zostało z resztką tablicy — należała do cyrulika miejscowego. A tam obok, gdzie krata, był rzeźnik. . . . Za nim mieszkał kupiec, co drzewem handlował, człek majętny. Jeszcze dalej, panna Joanka, najpiękniejsza w okolicy dziewczyna. I my starzy nawet, szliśmy w niedzielę posiedzieć przed stołem, za którym na wielkiem krześle słomianym siadała; aż miło było patrzeć jak to tam młodzież smaliła cholewki i wycierała łokcie, opierając się między dwoma wazonami niebieskiemi, pełnémi zawsze kwiatów, wśród których śmiała się jej figlarna twarzyczka. Otóż — ha! dziś już z tego nic nie zostało! Ci paskudnicy . . . . wszystko popalili, a mieszkańców powpędzali do piwnic, żeby też spłonęli — ale tam też nie jeden z nich leży w kupie z drugiemi, bo Bazeilczycy krzyczeli: śmierć nieprzyjaciołom! — i strzelali przez okna od piwnic.

Tak mówił mały człeczek z twarzą łagodną, trzymający wyżełka pod pachą, który się do nas przyplątał. — Gdzieniegdzie ludzkie postacie podobniejsze do cieniów niż do ludzi, przesuwały się pośród ruin. Widać ich było pochylonych nad zwaliskami ku ziemi, poruszających popioły, jak gdyby czego szukali. — Widzicie panowie tam tę kobietę, która trochę

funduszów nad subsydja od rządu francuzkiego, nic prawie by nie pozostało.

Gdyby Galicji byt zarówno z bytem Austrji zagrożonym nie był, głosowalibyśmy za krajem zawsze i za skupieniem w nim wszelkiego życia i pracy; — w razie wątpliwości czy Szwajcarja, a w szczególności Rapperswyl nie zdają się dziś opatrznie nam danem schronieniem. W razie, gdyby zamek nie starczył, gościnni i zacni Szwajcarowie wszakżeby ziemi kawałka na budowy nowe nie poskąpili?

Pytania te, dla rozbioru i rozwagi, dla wywołania zdań, rzucamy ufni w to, że je nasze dziennikarstwo podejmie, — jak każe obowiązek.

J. I. Kraszewski.

Korrespondencye.

Poznań, 30. Kwietnia.

Z świętami wielkanocnemi ubyło ruchu, jaki ożywiał miasto nasze w ciągu tej zimy, mianowicie w nowszej części wyglądało na ulicach, jak w małej stolicy. Dużo osób mieszkało tu tego roku, które innych lat szukały rozrywek w Paryżu, Dreznie a nawet w Berlinie, lecz kanclerz państwa niemieckiego, pomięszał im tą razą szyki, cóż było robić, trzeba było na tém poprzestać. Zdaje się, że ta pierwsza przymusowa próba, pomyślnie się udała, że odtąd i z dobrej woli, zjeżdżać tu będą na czas zimowy, témbardziej, że stała scena, zaokrągla przyjemnie program tygodniowych rozrywek. Plany budowli teatru, stają się coraz rzeczywistszemi, rozprzedaż akcij uskutecznia się pomyślnie. Akcje pięćdziesięcio-talarowe, których spłata całkowita następuje w ciągu pięciu lat, ułatwiają ich nabycie nawet dla klasy mniej zamożnej. Zdaje się, iż wymagane 60,000 tal. będą wkrótce zakryte, z przewyższek będzie można pomyśleć i o subsydjach dla sceny i o szkole dramatycznej, bez której musi scena kulawieć. Ażeśmy się już nauczyli oceniać grę artystów mimo niedostatecznych piśmiennych krytyk, to się pokazało w czasie wystąpień pana Rychtera, nietylko z przepełnionego widzami teatru, ale i z uniesienia, z jakiem przyjmowano grę wykończoną artysty.

Przy stałej scenie rozbudzą się może u nas i talenta pisarzy dramatycznych; Bogusławski, twórca sceny polskiej i wyborny tłumacz sztuk teatralnych był Wielkopolaninem, co nas choć cząstkowo osłania od czynionego nam ogólnie zarzutu, braku poczucia sztuk pięknych. Zmarły w powiecie pleszewskim 1858 r. Norbert Bredkrajcz, zostawił legat 5,500 talarów, od którego odsetki przeznaczył jako nagrody konkursowe: bądź to za dzieła dramatyczne, historyczne, ekonomiczno-polityczne, lub filozoficzne. Obecnie Towarzystwo Przyjaciół Nauk wybrało Życiorys Kopernika, z czasem przyjdzie kolej i na sztuki teatralne, których zmarły Bredkrajcz był nieudatnym autorem, ale wielkim miłośnikiem, skoro je na czele dzieł konkursowych wymienił jak to zamieszcza tom II. rocznika T. P. N. Poznańskiego.

Mieliśmy tu przed kilku dniami, w poważném zgromadzeniu miejskich obywateli na ratuszu, objaw tej samej brutalnej nienawiści Niemców, co przy wybijaniu okien w polskich handlach i hotelach przed kilku tygodniami. Zebrali się wszyscy reprezentanci na instalacją nowego burmistrza, po kilku przemowach, zażądał głosu nasz reprezentant p. Leon Wegner, którego mu go wzbroniono, bez żadnego innego powodu, jak, że „siła idzie przed prawem". Dołączywszy do tego odpowiedź księcia Bismarcka, posłom naszym w parlamencie, mamy dobitne trzy tony ze skali usposobienia i postępowania naszych cywilizatorów z nami.

Wszystko to nie oddziaływa bynajmniej na agitatorów ultramontańskich, nie poczuwają się dotkniętemi w dostojności Polaka. Owszem, w brew deklaracji posłów naszych, uznają parlament niemiecki za prawowitą swoją władzę, i garną się pod jego opiekę ze swemi petycjami, prosząc o przywrócenie władzy świeckiej papieżowi, bez względu na to zgromadzenie, noszące wybitnie charakter protestancki. Trudno tu ich loikę zrozumieć, również jak owe ciągłe straszenie widmami massońskiemi, wśród społeczeństwa polskiego, kiedy z drugiej strony pokładają całą ufność interesów kościoła, w opiece cesarza Wilhelma, o którym tylokrotnie dzienniki wspominały, jako członku wolnego mularstwa. Spodziewamy się, iż korespondent poznański do „Czasu" ma pewną powagę wśród powyższego stronnictwa, przytaczamy tu jego słowa, któreby powinny przekonać o bezskuteczności petycji do parlamentu agitatorów ultramontańskich.

Pisząc o opozycji, jaką stronnictwo katolickie znalazło w parlamencie, mówi korespondent „Czasu".

„Przerażać może myśl, dokąd idzie społeczeństwo nasiąkłe podobną nienawiścią do kościoła, jaką tam wszystkie głosy całej Izby się odznaczały". Niżej dodaje: iż katolicy mogą być z góry przekonani, że chociaż są z Niemcami nic dla interesu kościoła nie przeprowadzą; całe frakcje przeciw własnym zasadom głosować będą, by tylko kościół katolicki lub Polacy czego nie zdobyli. Niechaj to posłuży za naukę, rozrywającym solidarność przy wyborach i twierdzącym: że lepszy poseł chociażby Niemiec, byle katolik, niżeli Polak, nie poddający się paktom kościańskim.

Sieciechówek, 18. Kwietnia.

Co do wyboru hr. Stefana Kwileckiego nie mamy dotąd jeszcze wiadomości. Lecz nader mała jest nadzieja, ażeby przeszedł, bo agitacje w przeciwnych obozach są zbyt skrzętne i wielkie. Hrabia Stefan znanym jest powszechnie jako dobry katolik, spełniający wszelkie pod tym względem obowiązki ze szczerej i wrodzonej woli, z poczuciem religijném, jako chrześcianin — katolik — w domu cnotliwych i szlachetnych wychowany rodziców. Więc i pojąć nie umiemy, co jemu partja klerykalna zarzuca?! — Smutne to i aż nadto bolesne.

Mamy tu właśnie pod ręką kwietną tonów naszych wiązankę: Poezje Władysława Bełzy, wyszło nakładem J. K. Żupańskiego. Są to, zaprawdę, wonne i wdzięcznej barwy kwiaty i kwiateczki — wieńce i bukiety. A pomiędzy témi i utwór ważniejszy, legenda historyczna: Za-

drzewa zebrała i dmucha żeby się paliło, — znalazła w polu kilka kartofli i myśli je piec przy ogniu spalonego domu swojego. Tak, tak, panowie — te kamienie i drzewo obok niej, to resztki jej chaty; rok temu umarł tu mąż, a ona tu teraz przy węglach kartofle piecze. . . . To mówiąc mały człeczek, pokazał nam kobietę starą, wychudłą, włóczącą się z kołdrą przewieszoną na ramieniu. — W miarę jak się ściemniało, biedne rodziny, złożone ze starców wlokących się o kijach i kobiet z dziećmi na rękach, zjawiały się na gościńcu. Byli to mieszkańcy Bazeilles, powracający w ruinach spalonej wioski szukać miejsc, gdzie stały ich domostwa. Gdyśmy ich rozpytywali, mówili że dwa dni włóczyli się po lasach i drogach, prawie nie jedząc, a teraz spodziewali się tu znaleść kawał muru i trochę ognia pod nim, aby się przytulić i ogrzać. Deszcz im suknie poprzylepiał do ciała, bledzi byli jak trupy wywleczeni z grobu. — — Mieliśmy domy, mówili — dachy, ogniska, konie — i na życie zarabialiśmy pracą. — Teraz, nie mamy nic . . . a dzieci z głodu pomrą. — Kobiety z obłąkanémi twarzami cisnęły się między gruzy i wołały mężów, łkając a zanosząc się od płaczu. Próżno je usiłowano wstrzymywać, wołały rozpaczliwie, aby im mężów oddano. — Inne krzyczały głosem ponurym:

— One szczęśliwe jeszcze — bo płakać mogą. . . . My już od dwóch dni płakać nie możemy i tylko zdechnąć zostało.

Wszystka ta biedota kładła się na ziemi w popiołach ciepłych, jak kto mógł, padała na belki i drzewo, jak ludzie którzy mają skonać. . . . Matki zdzierały z ramion łachmany sukni i okrywały swe dzieci, — dzieci płakały z zimna, pokazując rączęta posiniałe — starzy łamali ręce i jęczeli z bólu widząc że nic nie pozostało ze wsi, w której z dziećmi swémi dożyć mieli do dni ostatka. — I wołali:

— Cóżeśmy uczynili dobry Boże, żeś nas tak dotknął? Zbieraliśmy po szelągu grosz dla dzieci, aby im praca lżejsza była niż ojcom. A wieczorem, siedząc przy ogniu, mówiliśmy między sobą — wkrótce przyjdzie się z życiem rozstać, ale bez żalu je rzucim, bo kolej na świecie taka, a dzieci, z tém co im zostawim, lepiej żyć będą — a teraz nadzieja rozbiła się jak sen, przeklęci jesteśmy w dzieciach naszych i nas samych.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

mek Grojecki, z której tutaj ustęp przytoczę, bo w nim szczególniej a rzewnie uczucie młodego przemawia poety:

VI.

Ostatnia wreszcie nastaje chwila!
Szwed całą siłą w zamek uderza...
Już, już zwycięztwo doń się przechyla!
Ach! czyż mężnego zbrakło rycerza?
Czyliż już mamy, o! Matko święta
Wieniec wawrzynu zmienić na pęta?

Już, już na murach zamku zatknięty,
Na srom nasz, sztandar powiewa wroga!
Wzmaga się walka, wre bój zacięty,
Krwią i trupami zasłana droga!
Zgrzytają szable, jęczą koncerze,
Pierś przeciw piersi stają rycerze!
A tak zaciekłość ich rozpłomienia,
Że straszna walka w rzeź się zamienia!
Więc tam, gdzie bój się najcięższy szerzy
Rzuca się dzielny hufiec młodzieży,
I siejąc w koło okrzyki trwogi
Zdobywa sztandar i gromi wrogi!

O! młodzi polska! po wiek i ninie
Błogosławionaś! w bólach zrodzona!
Ty umiesz zawsze w trwogi godzinie
Męzki hart zdobyć z młodego łona!
Więc kryzmem wiary dziś pierś twą zbroję
I twoje serca — i piersi młode:
Na krwawe walki, na ciężkie znoje,
I na męczeństwo i na swobodę!

Ślicznem jest prawdziwie: Pacholęciu polskiemu. I niepodobna, bym znowu tego nie przytoczył zakończenia:

Młodzi polska! w twojem łonie
Ziarna tego wschodzi zaród!
Ty dziś stoisz na wyłomie,
Za Ojczyznę i za Naród!

Tobie nasze strzedz ołtarze
I nie puszczać korda z dłoni! —
I stać wiernie przy sztandarze
Archanioła — i Pogoni!

I z trudami walczyć śmiało,
Chociaż skroń się zleje potem!
I podążać siłą całą
Za białego Orła lotem!

Piękne są melodje biblijne — „Ecce dolor“ — „Ojczyzna“ i tyle innych. A bardzo udatnym przekład „Rezygnacji“ Szyllera.

Nasze Towarzystwo dramatyczne opuściło Poznań i udało się do Gniezna.

Benefis p. Rychtera Skąpiec Molière'a przepełnił, ależ to przepełnił teatr. W miejsce orkiestry było 60 zajętych krzeseł — a umieszczono ich rząd nawet za kulisami!! — Prócz tego wiele osób później koleją przybyłych, już i tam biletu dostać nie mogło! — Beneficyjant był nieporównanym Harpagon'em — i wywołano go przy grzmiących oklaskach za jakie razy piętnaście! — Nazajutrz występował jeszcze, jako uproszony, w roli Wujaszka całego świata, na dochód Towarzystwa dramatycznego — i był wybornym!

Pan Rychter już nas pożegnał także. Jedzie do Warszawy. Ale jest nadzieja, że go tu znowu w Październiku ujrzymy.

Sieciech.

Z Krakowa, 29. Kwietnia 1871.

Dnia wczorajszego o godzinie szóstej wieczorem zwołał prezydent Dr. Józef Dietl, członków komisji balneologicznej krakowskiej, na posiedzenie w pomieszkaniu swojem. Było to prawdopodobnie ostatnie posiedzenie, przed porą otworzenia zakładów zdrojowisk krajowych. Sumarycznie tedy załatwia komisja bieżące sprawy, które dotąd załatwionemi nie były, a dwie tylko ważniejsze sprawy wniesiono znowu na posiedzenie. Pierwszą było sprawozdanie Dr. Bośniackiego, lekarza zdrojowego przy źródłach w Iwoniczu, z roku zeszłego. Najgłówniej zajęły tu wszystkich członków, nowe chemiczne rozbiory źródeł iwonickich, w roku zeszłym dokonane, przez słynnego balneochemika Aleksandrowicza. Kilku członków brało tu głos w tej sprawie, a wyjaśnienie, które Dr. Bośniacki ustnie dał, lub odczytując odpowiednie miejsca, z drukowanego sprawozdania zadowolniły wszystkich, bo dały świadectwo z jednej strony o ścisłości prac, przez chemika Aleksandrowicza podjętych w rozbiorze wód i źródeł iwonickich, a z drugiej strony i gorliwości i ścisłej kontroli balneologicznej komisji, z jaką nad tym zakładem krajowym czuwa.

Na ukończeniu dyskusji o tym przedmiocie, podał jeszcze Dr. Dietl kilka uwag własnych, któreby mogły w zastosowaniu udoskonalić skuteczność tych wód, i rozszerzyć ich zastosowanie lekarskie. Odnoszą się one głównie do trzech punktów, 1. aby żeleziste Iwonickie wody podsycać jeszcze więcej kwasem węglowym, 2. aby urządzić odpowiednią gimnastykę, pod kierunkiem lekarza, któraby mogła z czasem przygotować ortopedyczny zakład w Iwoniczu, a 3. aby zaniedbana łaźnia parowa w Iwoniczu, znalazła szersze zastosowanie, dla cierpiących na reumatyzmy i newralgie.

Następnie przeszła komisja na wniosek prezydenta Dietla, do rady nad Jaworzem (Ernsdorf), żętycznym zakładem na górnym Szlązku, leżącym przy Bielsku, który świeżo objął Dr. Kaufmann, Krakowianin, dawniejszy uczeń Uniwersytetu Jagiellońskiego, wyszły jeszcze ze szkoły Dr. Dietla. Prezydent okazał ważność tego zakładu pod względem narodowym i leczniczym. Następnie zabrał głos Dr. Kaufmann i okazał zalety tego zakładu, tak pod względem klimatycznym, jak pod względem przystępności jego dla prawdziwie cierpiących i organizacji tego zakładu, obiecującego wszelkie wygody, jakichby chorzy potrzebowali, zwiedzający ten żętyczny zakład. W dyskusji, która się z tego powodu zawiązała, zabierali głos głównie, Dr. Lutostański, Dr. Warschauer i Dr. Sciborowski, a na wezwanie prezydenta dał Dr. Wincenty Pol, znający z wszystkich członków, na posiedzeniu obecnych, najdokładniej Jaworze, potrzebne i zadawalniające objaśnienia. W skutek nich przeszła komisja do uchwały następującej: 1. że uważa „Jaworze“ odtąd za krajowy zakład leczniczy i że rozciągnie nad nim tę naukową opiekę, jaką wszystkim zdrojowiskom krajowym i kąpielowym zakładom daje, 2. że w miesiącu Czerwcu mają się udać do Jaworza delegacje komisji balneologicznej krakowskiej, Dr. Lutostański i Dr. Warschauer w celu inspekcii sanitarnej tego zakładu i wypracowania podług spostrzeżeń zrobionych instrukcji, dla Dr. Kaufmanna, dyrektora tego żętycznego zakładu, który dotąd zostaje członkiem na mocy statutów balneologicznej komisji krakowskiej.

Na tém zakończyła komisja balneologiczna wczorajsze posiedzenie swoje, polecając sprawozdanie z tego posiedzenia, redakcjom dzienników polskich.

Nowe Książki.

Z teki Mameluka galicyjskiego, ułożył Kulik z nad Wisły. (Cały dochód przeznaczony na fundusz opieki narodowej.) Lipsk, w komisji u E. Ł. Kasprowicza. 1871. Cena 20 sgr. 8. str. 107. (Należy do pewników przyrody, że prawda zwyciężyć musi. Smolka, Mowa 27. Czerwca 1869 r.)

O tém co Smolka powiedział, nie wątpiemy i dla tego zdaje się nam, że w Galicji też zdrowe pojęcie położenia i obcwiązków zwycięży, a cała ta niewymownie nudna polityka dzisiejsza Galicji — form, słów, współzawodnictw, borykań się o kozią wełnę — szczęśliwie skończy się tryumfem cichej pracy i poświęcenia dla kraju.

Że po za granicami Galicji tej polityki mądrej, wyszukanej, wyrafinowanej, skomplikowanej jeszcze różnémi osobistemi grunderstwami i koncesjami, nikt nie rozumie, nic dziwnego, bo w samym kraju z pewnością wielu z niej ledwie zna zewnętrzną skorupę, a co pod nią kipi — nie odgadnie. Po ludzku i po staropolsku zrozumieć tej plątaniny trudno — po galicyjsku tłumaczy się to znałogowaniem do form, słów i do biurokratycznych finesów. — W chaosie tym Mameluków, rezolucjonistów, demokratów, tromtadratów, stańczyków, kołtunów, dzikich, klubistów, smolkistów, delegatów, tylko chyba Galicjanin zorjentować się potrafi — kto jest Czapla, Żuraw, Kulik, Borbifaks, Konfuzjonista... to tajemnica lwowskich i krakowskich redakcij. Koniec końcem my z daleka patrząc widziemy chaos *ad infinitum*.... Po staropolsku zwał się ten stan — Gadu! gadu, a psy w krupach! A, tak! psy w krupach... czas uchodzi, najpilniejsze prace odłogiem... tymczasem wiekuisty spór z kim trzymać, z Czechem, z Węgrem, z konstytucją czy z rezolucją, z federacją czy z centralizacją... a psy w krupach!

Z teki Mameluka... na dochód funduszu opieki narodowej — niewiele pono przyniesie. Są to już dziś stare dzieje, kartka dla historji przyszłej przydatna, ale na teraz już *praeteritum plus quam perfectum*.

Położenie zmienione, autor rezolucji został ministrem, faza nowa, oczekiwanie powszechne, — a co było a nie jest, nie pisze się w rejestr.

W istocie teka owa, spóźniła się o wiele — pisana w Październiku 1870 r., wydana w r. 1871 w Kwietniu, urodziła się o jaki rok lub półtora *post festum*. Stare dzieje! Mamelucy galicyjscy, kanclerstwo galicyjskie! Sprawa składania mandatów do Rady państwa! Klub rezolucjonistów! Zgromadzenie wyborców we Lwowie 27. Czerwca 1869 r. Jak widzicie, wszystko to już historja starożytna. Bardzo obszernie historja 1869 r., krótko rok 1870 — oto treść broszury. Fakta są przedstawione żywo, wiele ciekawych wiadomości, sąd na który zgodzić się można, chociaż nie pozbawiony barwy pewnej. Ale czytając przebieg tych spraw, których pobudką jest przecie miłość kraju, miłość Polski, — dusza się ściska. Co po tém Polsce! nie odbuduje jej ani delegacja, ani Rada państwa, ani Mamelucy, ani Stańczykowie — a tymczasem — psy w krupach — w domu się nic nie robi; najlepsze siły kraju w zapasach o formułki się zużywają. — Do czego nas wiedzie to politykowanie? do wycieńczenia na duchu, do obałamucenia na umyśle, do utraty zmysłu potrzeb własnych. — Znajdźcie panowie *modus vivendi* i zacznijcie żyć... bo to szamotanie się to nie życie, ale jakieś konwulsje przedśmiertne.

Do historji współczesnej Z teki Memeluka będzie ciekawym materjałem, ale jakże to smutne świadectwo tego czemeśmy się bawili w r. 1869 i 1870, dając psom w krupach gospodarować!!

Dr. Omega.

B. Kalicki. Opowiadanie z dziejów Polski. Część I. Epoka Piastowska. Lwów 1871. 8. 258 str.

„Ponieważ idzie o przysporzenie młodzieży podręcznika do nauki dziejów ojczystych, który obok innych, niewątpliwie cennych książek, możeby także mógł się stać użytecznym — tuszy sobie autor, iż niedaremnie oczekiwać będzie odpowiednich wskazówek, które, byle w dobrej wierze i chęci udzielone, zawsze z wdzięcznością przyjąć jest gotów.“

Wyczytawszy te słowa na czele książki, mniej się wahamy z wypowiedzeniem autorowi jej, tego, co w dobrej wierze i chęci, — sumienne przekonanie rzec każe. — Niemiły to obowiązek sprawozdawcy, zwłaszcza gdy się ceni człowieka, widzi czyste pracy pobudki, a z jej wykonaniem i pojęciem pogodzić nie może; trudny obowiązek gdy się obok wiela dobrego, dostrzega takie rzec można organiczne wady w piszącym, iż mu się z nich uleczyć być może niepodobna. — Pomimo to, trzeba mieć odwagę swych przekonań i wypowiedzenia prawdy.

P. Bernard Kalicki, znany nam oddawna jako badacz i pisarz, wykształcony w dobrej szkole Szajnochy, chociaż obszerniejszego nie wydał dzieła, kilką studjami pojedyńczych zadań przysłużył się dziejom naszym. Można się było słusznie spodziewać po nim, że urośnie na godnego zastępcę nieodżałowanego mistrza. — Nie wiemy czy przerwanie studjów we właściwym kierunku, czy wyczerpanie jakieś, czy naostatek rzucenie się na drogę mniej szczęśliwie wybraną — w nowém a skąpszém świetle ukazuje nam p. Kalickiego w tych oto właśnie opowiadaniach. Wzięliśmy je do ręki z oczekiwaniem chętném, nie zaspokoiły nas wcale. — Napróżno chcemy sobie zdać sprawę z założenia książki. — Podręcznik dla młodzieży?? Podręcznik taki powinienby — zdaniem naszém — nie uganiając się za zbyt rozwlekłém wyrozumowywaniem i tłumaczeniem, ani obrazowaniem nawet epok i charakterów, dawać jak najwięcej krytycznie obrobionych faktów, w formie treściwej i trzeźwej, niejako kanwę historyczną, na którąby uczeń s m koloryt nałożył. Nadewszystko szkodliwém się nam widzi w Podręczniku wypełnianie domysłami niejasnych próżni, a zbytnie rozwadnianie przedmiotu. — Historja myśl swą niesie sama w sobie, narzucać ją jej — uchodzi w dziele szerszych rozmiarów, w podręczniku ograniczającym się do głównych faktów tylko — dziwnie wygląda.

W czytaniu uderza naprzód niezmierna obfitość słów niepotrzebnych, frazesów czczych, oklepanego materjału naszych czasów przyszytego do dziejów, które się z tym językiem, formą, pojęciami pogodzić nie mogą. Autor z XIX. wieku frazeologją, ideami, zdaniami przystępuje do IX. i X. wieku i dopuszcza się anachronizmu rażącego pojęć, kolorytu, który przykre budzi uczucie. — Krytyki faktów ani materjałów, ani sposobu ich użycia pisać nie myślemy — choć i tu dałoby się powiedzieć wiele, bo dla młodzieży pisząc dzieło, nie można pominąć źródeł i literatury przedmiotu, i bodaj historji samej tej historji, która jest wielce nauczającą — idzie nam o powłokę, o ujęcie przedmiotu, o sposób przedstawienia. Ten jest niewątpliwie fałszywy. Zamiast przedmiotowego przedstawienia dziejów, mamy tu ich pojęcie autora własne, wielce ułomne, a niekiedy dziwne swą wieszczą władzą — obudzające wrażenia. — U p. Kalickiego Mieczysław zrozumiał, Mieczysław pojął — Mieszko z całém przeświadczeniem czynił, Włodzimierz widział, Bolesław zrozumiał konieczność i t p. powtarza się nieustannie. Nadaje to dziejom X. w., w którym narzędziami historij były postacie instynktowo raczej spełniające swe posłannictwo, niż rozumujące nad losami państw i narodów — barwę osobliwszą. To narzucanie idei nie tłumaczy ludzi ani ich podnosi, czyni ich czémś takiém, jak Ludwik XV. grający rolę Achillesa w peruce. Więcej wypisów z kronik, więcej podań po prostu wciągniętych, więcej żywego ducha dziejów, a mniej gadaniny, byłoby opowiadanie uratowało. — Tak jak są mało uczą, a pobałamucić mogą wielce. Chęci były jak najlepsze — ale przewodniej myśli jasnej brakło. Warjacje z tematów narodowej historji nie będą nigdy historją, a tém mniej podręcznikiem. W tych rozdziałach gdzie p. Kalicki posługuje się materjałem kronikarskim, zbiera wiadomości, ustawia je i szykuje nie wypełniając ich cementem z piasku, czytamy go z zajęciem, lecz całe karty, całe rozdziały logomachij czczej, dla starych nieznośne, a młodzież mogą na wieki od historij odstręczyć. Być może, iż idąc w wieki następne, p. Kalicki znośniejszym się stanie, bo tu skazówki dziejowe usprawiedliwią jego wnioski, znajdą one oparcie pewniejsze i podstawy, — lecz w epoce od X. do XV. w.... jakże skromnym i ostrożnym być należało — jak poszanowania pełnym dla tych hieroglyfów dziejowych, których samowolnie a płocho decyfrować się nie godzi.

Nie powiemy nawet, ażebyśmy z poglądem autora nie mogli się pojednać. Owszem to co mówi, jest często trafném, a mimo to sposób w jaki ta suknia włożoną jest na stare kości — oburza i razi.

Mylemy się może, lecz to niezręczne pojęcie epoki całej, nadanie jej kolorytu niewłaściwego, dzisiejszego — niedostateczne pochwycenie charakteru winien pan Kalicki temu, iż niedość ogólną historję Europy, historję ducha, cywilizacji, pojęć, obyczaju, studjował. Dzieje te Polski wyglądają jak wykrojone, bez tła, bez związku, bez spójni z historją Europy, która je wyjaśnia, tłumaczy, zrozumiałemi czyni. Jest wadą większej części naszych pisarzy historycznych, iż nie badają dziejów naszych w dziejach świata i ludzkości i dla tego nader je ciasno pojmują. Polska nie była zjawiskiem tak odrębném, tak nawet można rzec samoistném, by jej dzieje obeszły się bez wykładnika zaczerpniętego z ogólnych Europy dziejów, zrozumieć nawet Polski nie można tylko w związku z całością. Z ludów słowiańskiego plemienia czy charakteru tylko rosyjskie i niektóre południowo słowiańskie odcinają się od Europy ciążąc więcej ku wschodowi lub zastygając w formach wieku, w którym żyć to jest dalej przekształcać się przestały. Polska dopiero w XVII i XVIII tężeje i obumiera, nachylając ku upadkowi, a i w tej chwli gdy duch jej przestaje się dalej rozwijać, zewnętrzny wpływ Europy, wpływ rzec można mechaniczny na nią nie ustaje.

Można przedstawić fakta oderwane dziejów, bez ich moralnego związku z historją cywilizowanego świata, lecz w ten sposób ani się one ocenić dadzą, ani wyrozumieć.

Ten obraz polski jakiejś idealnej naprzykład, który za Nestorem kreśli w początku pan Balicki, około połowy IX. wieku, zdaniem naszem jest zupełnie fałszywy. Inna rzecz kraj zasiedlony plemieniem jedném inne państwo spójne, a w połowie IX. wieku, owo „życie w powszechnej zgodzie, swobodzie i pokoju“ o którém mówi autor (252 str). na żaden sposób dowieść się nie da.

Polska tu przedstawia się jako idea jasna i określona, jej panujący jako obrońcy, „myśli narodowej.“ Myśl narodowa w X. wieku!! Był zaledwie instynkt, ale myśli tej nie było. Walczyli książęta o niezależność i siłę, o panowanie, nie o Polskę, której imie zjawia się z ciasném pojęciem jeszcze nierozległego kraju. Myśl też „węzła dawnej jedności“ (254) braterstwem i swobodą na nowo mającego się wywiązać, jest tu równie anachronizmem. W IX. i X. wieku idee te cale inną formę stosowną ówczesnym pojęciom miały i ta — bez zdenaturalizowania charakteru epoki, narzuconą im być nie może. Owa idealna Polska Nestora, która u niego wcale inaczej wygląda, bałamuci pana Kalickiego do tego stopnia, że pierwszym książętom naszym narzuca myśl przywrócenia jej! — a następnym nadaje jasnowidzenie wszystkich zadań czasu, które historykom nawet dopiero w chwili obecnej widoczniejszemi się stały. Dzieje dążyły do tego co pan Kalicki głosi, ale wcale nie w ten sposób, nie z tą wiedzą, nie temi drogami.

Jeszcze jedną wadą książki jest jej niepomierna rozwlekłość. Przebaczonąby była, gdyby obfitowała w szczegóły, czy barwę czy pomocnicze światła rzucające na te czasy, — nie darowaną jest jako wodnista gadanina w podręczniku dla młodzieży. Styl też w opowiadaniach cale się starannością nie zaleca. Nosi on cechy pośpiesznego wykonania, które treściwym i związłym być nie dozwoliło. Wedle słusznej uwagi czyjejś — potrzeba wiele czasu aby pisać krótko — tu, znać go za mało było. Słowem, ze smutkiem musieliśmy wyznać, że opowiadania były dla nas zawodem wielkim nietylko na książce, ale na człowieku. Samoistniejszej siły a nawet głębszych studjów, nie znaleźliśmy; pojęcie zaś samo zadania z gruntu się nam widzi fałszywe. Sąd ten, na który żadne uprzedzenie wpłynąć nie mogło, bośmy się doń szczerém a życzliwem sercem brali — radzibyśmy ażeby naszą był omyłką raczej niż surową prawdą, jaką się nam być zdaje.

Dr. Omega.

Rozmaitości.

(Artykuł nadesłany.)*

— **Z zasady, iż w drugiej połowie XIX. stulecia,** szczególniejszą zwrócono uwagę, na wychowanie młodzieży polskiej, nietylko pod względem hygieniczno-fizycznym, moralnym ale i intellektualnym — ztąd też wynikła potrzeba, aby dzieci nasze, pierwiastkowo były kształcone prywatnie, czyli w domach rodzicielskich, pod ich szczególnie baczną uwagą i troskliwością. Pomoc wszakże w tym względzie, ze zdolnych pedagogów, stała się nieodzownym warunkiem, kwestja tylko zachodziła, by trafnym i umiejętnym wyborem osoby, czyli nauczycielek domowych, umieć tej potrzebie zaradzić.

Otóż w skutek tej potrzeby powstały u nas biura, pośre-

* Znając pożyteczna działalność i sumienność pani Heleny Nowoleckiej z jej czynności w Warszawie, powszechnie jak najkorzystniej ocenionych, możemy sumiennie polecić ją Czytelnikom naszym.

Przyp. Redaktora.

dniczące w wyborze nauczycielek (guwernantek), które za główne zadanie mieć powinny, obok dokładnej znajomości zawodu pedagogicznego, zwracanie szczególnej uwagi, nietylko na ukształcenie naukowe, ale i na moralne postępowanie tychże osób, wynikające jedynie z tego świętego, trudnego, a tak ważnego powołania w stanowisku każdego z nauczycieli i nauczycielek prywatnych. W myśl więc tych zasad podpisana jeszcze w r. 1854, otworzyła w Warszawie tego rodzaju biuro stręczeń guwernerów, guwernantek i bon, które z uznaniem ogółu i powodzeniem zadawalniającém istniało do obecnej chwili, to jest lat 17, a w r. 1867, filia tej firmy urządzoną została w Krakowie, jak to ogłoszenie w inseratach „Czasu“ nr. 121 i 116 przekonywa. Obecnie powodowana interesami familijnemi, opuściwszy Warszawę, otworzyłam też Biuro Stręczeń etc. pod własnym kierunkiem w Krakowie, przy ulicy Florjańskiej nr. 339. na pierwszém piętrze, gdzie rozpocząwszy moje czynności z dniem 1. Maja r. b., mam zaszczyt polecić się szanownym interesantom, w przekonaniu, iż przy tak rozgałęzionych moich stosunkach w kraju i po za granicą z osobami pracującemi w zawodzie nauczycielskim, będę w możności zadosyć uczynić wszelkim żądaniom, wywiązując się najaukaratniej z położonego we mnie zaufania.

Helena Nowolecka.

— **Dowiadujemy się z najpewniejszego źródła, iż Dr. Wincenty Pol,** przygotowuje bardzo pożądane wydanie pełne wszystkich pism swoich, poezji i prozy. Przedsięwzięcie to wymaga jeszcze wstępnej pracy, rozpatrzenia i klasyfikacji, mamy jednak nadzieję, że na wykonanie jego nie długo czekać będziemy. Pisma Pola, jak wiadomo wychodziły w różnych czasach i po całym Bożym świecie, począwszy od Paryża do Petersburga. W Warszawie, Lwowie, Wiedniu, Poznaniu i t. p. Niektóre z nich za mało, winą samych wydawców, były rozpowszechnione, a bardzo powątpiewamy czy najskrzętniej zbierająca bibljoteka, posiada wszystkie. Znaczna część wyszła w rocznikach i pismach zbiorowych i perjodycznych, a nigdy potém powtórzoną nie była. Naostatek dodać należy co jeszcze w rękopismach pozostało i nad czém się pracuje. Lat to czterdzieści niezmordowanego trudu, na polach różnych, a zawsze poczciwych i serdecznych. O tém wydawnictwie, obszerniej jeszcze pomówić zamiar mamy.

— **Doktor Curti,** jeden z głównych urzędników miasta Rapperswylu przesłał hr. Platerowi następne pismo, z powodu cessyj reszty gmachu zamkowego, w którym się znajduje Muzeum polskie.

Rapperswyl 24. Kwietnia 1871 roku.

Szanowny Panie Hrabio!

Mieszkańce naszego grodu, decyzją jednomyślnie wczoraj zapadłą, odstąpili panu na lat 99. resztę gmachu zamkowego, któremu gorliwość patrjotyczna polska nadała ozdobną postać, i zrobiła z niego przybytek narodowy. W akcie cessyj znajdują się niektóre warunki, najgłówniejszym z nich jest obowiązek restauracyj piętr wyższych w pewnym przeciągu czasu.

Tak szanowny hrabio, stałeś się panem starożytnej budowli dziś poświęconej świetnym pamiątkom Polski, masz łatwość powiększenia muzeum i rękojmię bezpieczeństwa na przyszłość. Albowiem nawet w dzisiejszej epoce zamętu i materjalnej przemocy, obca potęga we własnym interesie nie targnie się na niepodległość Szwajcarji, a tem mniej na okolicę nie będącą celem żądzy politycznej.

Będąc świadkami wielkich waszych starań i ofiar, wytrwałości niedającej się niczém zrazić, i miłości ojczyzny bez granic, życzymy panu jak największego powodzenia, i dalszego postępu podobnego temu, jaki dotąd cechuje wasze prace.

Potrafiłeś, panie hrabio, w chwili najkrytyczniejszej nie przerywać rozpoczętego dzieła i zwyciężyć olbrzymie trudności. Ani wojna, ani różnorodne przeszkody cię nie zniechęciły, wierzysz bowiem słusznie w świętość sprawy polskiej i błogosławieństwo Boskie.

Niech synowie Polski popierają to dzieło z całym zapałem wrodzonego patriotyzmu; niech dadzą dowód jedności wtenczas kiedy idzie o świetność zakładu, który jest przedmiotem uwielbienia cudzoziemców, skarbcem relikwji waszych narodowych, silną propagandą na korzyść odwiecznych praw Polski. Tak pojmuje opinja publiczna w różnych krajach tę znakomitą instytucję tak szybko wzrastającą, którąś ofiarował Polsce jako własność narodową. Muzeum z jednej strony, pomnik z drugiej, jest to obraz narodu dziś ukrzyżowanego, a jutro odradzającego się.

Racz przyjąć panie hrabio wyraz wysokiego poważania.

Doktor Curti.
Były Prezes Rady Miejskiej Rapperswylu.

— **Pierwsza lista przedpłacicieli, na wyjść mający życiorys ś. p. generała (Bossaka) Hauke.**

1. Emilia Kraus, — w Czerlanach egz. 1.
2. Brandowski, profesor Uniwersytetu Jagielońskiego w Krakowie.
3. I. Milikowski we Lwowie egz. 4.
4. F. Pruszyński urzędnik w Radzie Powiatowej w Rudkach egz. 1.
5. Ludwik Dolański, w Krakowie egz. 2.)naddatek kr. 40).
6. Józefa Bem w Krakowie (naddatek kr. 40) egz. 1.
8. Wanda Pietruska w Rudzie egz. 1.
9. J. W. Wilkszycka w Wapczu pod Małém Czystém (z naddatkiem 25 sgr.) egz. 5.
10. Rupalski, urzędnik Magistratu w Krakowie egz. 1.

Wspomniony życiorys ś. p. generała Bossaka (Hauke), w drugiej połowie miesiąca Maja r. b. opuści prasę. Prenumeratę więc wraz z dobrowolnym naddatkiem, dla pozostałej wdowy i rodziny, nadsélać można pod adresem A. Nowolecki, w wydawnictwie Czytelni Ludowej w Krakowie. Cena prenumeracyjna na powyższe dziełko, cent. 60 (11 i pół srg.) z przesyłką pocztową. Po wyjściu dziełka cena podwyższoną zostanie.

— **Wiadomość o nagrobku ś. p. Dr. Ig. Pietraszewskiego,** b. profesora przy Uniwersytecie berlińskim, wzniesionym w Berlinie ze składek Rodaków.

W skutek odezwy podpisanych z r. 1870 złożyli na ten cel obywatele z różnych części Polski, jak to szczegółowo przez dzienniki doniesiono, kwotę talarów 49 sgr. 6.

Z tego funduszu wydano:

Za kamień z białego marmuru . .	14	tal.	—	sgr.
Za 150 liter na nim wyrytych, grubo pozłacanych (à 2 sgr. litera) . .	10	„	—	„
Za położenie kamienia	—	„	10	„
Za pokrywę cynkową, ochronną . .	4	„	—	„
Za 4 drzewka otaczające grób . .	4	„	—	„
Za posyłki i drobne wydatki . . .	—	„	26	„
Razem .	29	tal.	6	sgr.

Pozostały fundusz 20 talarów użytym będzie na opłacanie dozoru i pielęgnowania grobowba po 2 talary rocznie, przez lat 10. Dalsze staranie o taki dozór polecają podpisani tym Rodakom, którzy po r. 1880 przebywać będą w Berlinie, a mianowicie szan. Towarzystwu Przemysłowców Polskich w tejże stolicy.

Podając ten rachunek z powierzonych im na ten cel funduszów do wiadomości publicznej, podpisani czują się w obowiązku złożenia zarazem szczerych podziękowań, tym szlachetnego serca Rodakom, którzy prawy charakter i zasługi cenić umiejąc, raczyli wziąść udział w tem tak usprawiedliwioném przedsięwzięciu, uczczenia pamięci zgasłego uczonego męża.

Berlin, d. 21. Kwietnia 1871 r.

Karol Forster.

A. L. Szulc.
obywatel m. Berlina.

— **List p. Vincentego Arnese,** który nas za późno doszedł do tego numeru, z przyjemnością umieścim w następnym.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: **Józef Ign. Kraszewski** w Dreznie. — Nakładem i drukiem **J. I. Kraszewskiego** w Dreznie.